

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM

WARSZAWA, ŚRODA 18 STYCZNIA 1933 ROKU Nr. 20

# PIŁOMYK

tygodnik ilustrowany  
dla dzieci i młodzieży



BIĄŁY NIEDŹWIEDŹ



# LISTY OD REDAKCJI

DO WSZYSTKICH DZIECI ZE SZKOŁY Powszechnej w Wymysławach. Bardzo się nam podobał opis i fotografia z urządzonego przy pomocy kochanej Waszej Pani „Święta matki”. Nie martwcie się, że nie zamieścimy tej fotografii w piśmie, ale nie jest dosyć wyraźna. Calej miłej Waszej szkole życzymy dobrej nauki i wesołej zabawy.

DO MARJI WOJTAROWICZÓWNY, ZOFJI GUTKOWSKIEJ I HALI GULBINÓWNY W BELŻYCACH. Dziękujemy Wam za nadesłane pieniądze na L. O. P. P. Musiałyście mieć dużo roboty, ale też i dużo przyjemności przy urządzeniu loterii fantowej!

DO HALI KORZAŃSKIEJ W BYDGOSZCZY. W 12-tym numerze znalazłaś artykuł o Szopenie. Czy skorzystałaś z niego? Pani Krzemienieckiej powiedzieliśmy, że tak lubisz jej wiersze.

DO DZIUNI KOKOŁÓWNY W BYDGOSZCZY. Jak odbyła się uroczystość ku czci Szopena w Waszej szkole?

DO KLAS V, VI i VII SZKOŁY Powszechnej w Nieszkowicach Wielkich. Opiszcie nam, jak pracuje Wasza gmina i czy rzeczywiście jest przykładem dla młodszych? Pomocą dla pana nauczyciela? Zapytywaliście o adresy dzieci polskich zagranicą. Cały szereg takich adresów znajdziecie na okładce numeru 12-go.

DO JAGUSI ZAJCHOWSKIEJ W KATOWICACH. Sięgnij do okładki numeru 12-go, to znajdziesz tam adresy naszych czytelników zagranicą. Dziękujemy za ofiarę.

WANDA KOTLIŃSKA, PIOTRKÓW TRYBUNALSKI, GIMNAZJUM ZRZESZENIA NAUCZYCIELI, ul. Słowackiego 9, chciałaby korespondować z dziewczynką w swoim wieku, ma lat 14, chodzi do 5 klasy. Lubi wycieczki, lubi też bardzo tańczyć.

DO KLASY V-A SZKOŁY NR. 1 WE WŁODAWIE. Z tego, co piszecie, trudno się domyśleć, o jakie „białe jagody” Wam chodzi, rosnące na Polesiu. Podobne trochę do czarnych jagód są tak zwane „łochinie”, ale one tylko w przekroju są białawoszare, skórki zaś mają ciemnogrnatową, jak czarne jagody. Przytem łochinie są trujące. Wy zaś pewno jadalne jagody macie na myśli. A kto to Wam opowiadał o tych białych jagodach, rosnących na Polesiu?

DO KLASY VI SZKOŁY Powszechnej w Gostyniu. Bardzo to dobra myśl, zbierać i suszyć zioła lecznicze. Nietylko zarobić możecie w ten sposób pieniądze na abonament „Płomyka” czy inne wydatki, ale też zapoznacie się z różnymi roślinami. O wskazówki, jakie zioła zbierać, radzimy Wam zwrócić się do miejscowej apteki, a gdyby tam nie chcieli nabywać, to może napiszecie do spółki „Zioła Polskie” Warszawa, Podwale 7. A czy znacie broszury Dr. Biegańskiego o suszeniu ziół? Adresy polskich dzieci poza granicami kraju znajdziecie w numerze 12 na okładce. Pytacie, jak nazywać „Płomyk” pieszczotliwie, żeby wiadomo było, że chodzi o starszego z braci? Może „Płomys”? Niech na adresie będzie „Płomyk”.

DO JURKA CHEŁCHOWSKIEGO W CHORZOWIE. Może nam opiszecie dokładniej i wyrysujesz ten spadochron swego pomysłu. Dobrze?

DO KLASY VI SZKOŁY Powszechnej 1-ej w Kowlu. Znajdziecie adresy, o które zapytujecie, na okładce 12-go numeru. A może już znaleźliście i wybrali, do kogo napiszecie?

DO VII-GO ODDZIAŁU W TURZY MAŁEJ. Jak widać z Waszego listu, dużo macie miłych i ciekawych zajęć w swej szkole. Wszystkim Waszym organizacjom życzymy powodzenia w pracy. Czy urządzacie w ciągu zimy jakie przedstawienia dla kolegów, a może i dla rodziców?

DO KLASY V i VI W PROKOCICACH. Radzi jesteśmy, że tyle radości i pożytku mieliście z „Płomyka” w pierwszym kwartale tego roku. Napiszcie znowu kiedy, co u Was słychać.



# P Ł O M Y K

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



Fot. H. Poddębski.

## SZRON.

Ziemia przybrała się w ślubne  
szaty.

Wszędzie, aż po nieba skłon  
jaśniej w słońcu ten strój bogaty,  
a drzewa posrebrzył szron.

Nad tem musiały pracować  
wróżki,

może przez wiele lat?

O nie! przez jedną noc ich  
paluszki

stworzyły czarów świat!

Pośród gałęzi porozwieszały  
srebrzystych koronek sieć...

Na Boga! skarbień klejnotów cały  
pod ręką musiały mieć

Każdy pień, każda gałązka drobna  
od pereł, diamentów lśni...

Nie! tego blasku znieść  
niepodobna,

od niego aż w oczach się ćmi!

Tak biało, cicho i uroczyście,  
jakgdyby w świąteczny dzień...

Chociaż z drzew jesień strąciła  
liście,

na śniegi rzucają cień.

Krótko nas dzieło wróżek

olśniewa,  
jak sen... Ze wszystkich stron

gasną diamenty, z każdego

drzewa  
srebrzysty sypie się szron.

Z. SOKOŁOWSKA.





## W KRÓLESTWIE WĘGLA.

Huk, łomot, trzask... Krzyk ludzi, gwizd maszyn. Kłęby pary wytryskują w zimne przestworza. Parowozy podsuwają wagony, do których z sortowni wałą się kawały węgla. Gorączkowy ruch. To kopalnia.

Z rękoma w kieszeni przyglądam się, jak winda za windą niknie w bezdennej studni szybu, by wynieść na swych barkach drogocenny skarb - węgiel, tak potrzebny zawsze, a zwłaszcza teraz, zimą.

Z sześcioma kolegami wchodzę do gmachu, w którym ukryte są doły. Uderzyło mnie obuchem stęchłe powietrze, unoszące się białawym obłokiem z ciepłego szybu i jednocześnie doznałem jakiegoś niewytłumaczonego lęku przed tą paszczą, która, ziejąc dymami i czadem, ma nas połknąć... Czy bezpowrotnie?.. Lecz krótka chwila lęku, na bojaźń nie ma czasu, bo winda już czeka na nas. Wchodzimy do wilgotnej paki, okutej sztabami żelaza. Sygnał i klatka wolno, potem coraz szybciej niknie w otchłani. Zdaje mi się, że deski szali usunęły się z pod mych nóg. Lecę w przepaść, kurczowo trzymając się rączki sufitu... Syk ognia. To kropla wody zgasiła lampę mego kolegi. Druga wpadła mi za kołnierz kurtki. Otrzeźwiła mnie trochę.

Teraz mogłem zauważyć, że winda to podłoga, sufit i dwie boczne ściany, coś w rodzaju zewnętrznej części pudełka od zapalek. Przez boczne otwory, służące do wpychania na windę wagoników węgla, widziałem migające ściany szybu, całe pokryte wielkimi kroplami wody.

Czas dłużył mi się niezmiernie. Jak długo jechaliśmy, nie wiem. Wreszcie klatka zwalnia biegu i staje. Wychodzimy z niej. Jesteśmy w łonie ziemi na głębokości 300 metrów.

Obok nas gorączkowy ruch. Robotnicy, ubrani w gumowe kombinезony, kręcą się bezustannie, maszynki elektryczne podpychają wozy na podszybie. Trzeba uważać na wszystkie strony, by w takim gorączkowym ruchu nie oberwać gdzie guza.

Zawiadowca kopalni prowadzi nas z podszybia do pochylni. Wokół mrok, rozpraszany co kilkanaście metrów żarówkami. Posuwamy się gęsiego, ostrożnie stawiając stopy na oślizgłych podkładach szyn. Przy ścianach pochylni w kanałach szumi woda. Co chwila mijamy wózki napelnione „urobkiem”. Pochylnią idziemy prawie dwadzieścia minut.

Przewodnik nasz zatrzymuje się.

— Tu kończy się pochylnia — objaśnia nas — dalej zaczyna się upadowa, od której co 15 metrów rozchodzą się chodniki. W nich pracują górnicy. Poziom 325 metrów. W ścianie znajduje się telefon.

Przygrubym płaszczem okryła nas matka - ziemia. Gdyby zechciała przytulić nas do swego łona...

Skrećamy w chodnik cały kuty w węglu. Nie widać tu ani stempli, ani kap, któremi chodniona podparta jest cała pochylnia, gdyż węgiel potrafi wytrzymać ciśnienie „góry”.

Gdzieś daleko ciemność gęstą od słodkawego „puchu” rozświetla



mały ogień. Zbliżamy się do niego. W migotliwym jego blasku zauważamy zgarbioną postać, kującą czarny skarb.

Pozdrowienia. Postać przerywa pracę. Zwraca się do nas żółtawo - czarna twarz górnik, obłana potem, który nieścierany płynie po obu jej stronach, zmywając pył węglowy i tworząc na niej od skroni przez zapadłe policzki aż do zarośniętej brody jaśniejsze pasy:

— Jak wam się robi?

— Źle, panie zawiadowco, niema powietrza, trzeba łaską dziury dłubać.

— Jakto niema, jest!... — i nacisnął nogą gumowego węża, biegnącego od szybu do małej maszyny, zwanej wiertarką, którą górnik wierci otwory do zakładania ładunków wybuchowych.

Górnik połączył wiertarkę z wężem, oparł ją o prawe udo, przekręcił kurek węża i w tym momencie świder wiertarki, bucząc jak podrażniony trzmiel, zagłębiać się począł w twardą skałę, szarpiąc niemilosiernie górnik. Tryskają kawałki węgla, bijąc nas po twarzach, a świder zagłębia się coraz więcej. W kilka minut otwór gotowy, po nim drugi, trzeci, czwarty. Chcemy zobaczyć efekt strzału, czekamy więc, aż górnik założy materiały wybuchowe.

Po zapaleniu tak zwanej „cyndry” cofamy się od wylotu chodnika. Otacza nas przeraźliwa cisza, przerywana od czasu do czasu sykem gazu w lampach. Czas dłuży się w wieczność...

Nagle uderzył nas silny prąd powietrza i rozległ się huk, potem drugi, trzeci, czwarty, a potem usłyszeliśmy walenie się brył węgla. Chodnik drży. Posypały się na nas ze stropu okruchy węgla i otoczyła nas ciemność, bo oprócz lampy zawiadowcy i górnik wszystkie inne pogasły. Nerwowo zapalamy je i udajemy się na miejsce wybuchów. Cały chodnik wypełnił dym i pył węglowy. Trudno oddychać, niemożliwie — patrzeć! Po pewnej chwili dym i pył opadł i ujrzeliśmy olbrzymie bryły węgla beładnie porozwalane.

Pustka... Owłada mną jakieś nieprzyjemne uczucie. Odchodzę...

Przewodnik prowadzi nas teraz do podziemnej stajni. Przeciśnawszy się ciasnym otworem na wyższe piętro, wspinamy się po szczeblach, przybitych do tarcic, by obejrzeć mieszkanie koni, których większość, mających różne imiona, jak Zagłoba, Diana i t. p., obecnie pracuje. Stoi ich zaledwie kilka. Odwracają swe smutne, beznadziejne oczy od widoku człowieka, który je uwięził w tych podziemiach, żałośnie kiwając głowami nad żłobami pełnymi owsa.

W kącie stajni, elektrycznie oświetlonej, siedzi chłopak, pogwizdując sobie wesoło. Nie martwi się, że musi połowę swego życia spędzić w podziemiach. Czemu te konie takie smutne?...

\*

Po czterogodzinnej włączędze opuściliśmy kopalnię. Na powierzchni z lubością wdychamy mroźne powietrze w zacadzone płuca.

Och, jakaż to ciężka praca — wydobywanie węgla!

*El. Szymczakowa.*



## DOMEK „ŚNIEŻNYCH ZUCHÓW”.

— Dziś będzie zbiórka „Śnieżnych Zuchów”, pamiętacie? — rzekła Zosia, gdy się kończyła ostatnia lekcja.

Naturalnie, że wszystkie pamiętają.

Drużynowa zapowiedziała, że dziś zuchy zbiorą się na pustem polu za parkanem i tam mają coś robić „śnieżni ludzie”... Ale co?

Poleciła też wziąć saneczki i nawet dziewczynki dziwiły się poco, bo tam przecież niema żadnej pochyłości.

Ale, ponieważ drużynowa powiedziała... Henia z Zosią chwyciły za sznurek przyczepiony do saneczek i pomknęły szybko małemi uliczkami, prowadzącemi ze szkoły do onego pustego pola. W lecie była to łączka, porosła tu i owdzie krzakami i wikliną, teraz wyglądała, jak bezkresna, śnieżna pustynia.

Koło większego krzaku, który odcinał się ostro na tle bieli śnieżnej, zgromadziły się już prawie wszystkie zuchy. Henia i Zosia ledwo zdążyły dobiec z saneczkami, gdy zjawiła się drużynowa, panna Wanda. (przez harcerki zwana poprostu: druchną Wandą).

— Śnieżni ludzie zbudują sobie dom ze śniegu — powiedziała p. Wanda. — Ot tu, na tem miejscu stanie ta chata. Na dalekiej północy, blisko bieguna ludzie mieszkają w takich ze śniegu zbudowanych domkach.

— Domek ze śniegu! Ale jak to zrobić?

— Zrobimy kule śnieżne — objaśniała dalej drużynowa. — Dziś odwilż i śnieg się lepi, więc będzie łatwo. Każda z nas utoczy kulę jak największą; jest was dziadzieścia pięć, z dwudziestu pięciu kul będzie już ściana. W ten sam sposób zrobimy następne. A teraz żywo, do pracy!

„Zuchom rozkazu nie trzeba powtarzać”, jak mówi prawo zuchowe, dziewczynki rozpierchły się więc na wszystkie strony i każda stara się utoczyć ze śniegu jak największą kulę.

Zosia pobiegła pod krzak głogu, tam leży masa nieruszonego jeszcze śniegu. Wtem doszedł ją pisk ptaszków, cichy i jakby żaloszny, spojrzała: oto kilka wróbelków tuli się do gałązek krzaka i daremnie wypatruje jakiej jagódki.

— Jakie one głodne! — pomyślała Zosia. — Trzeba im coś dać do jedzenia, mam przecież jeszcze trochę bułki ze śniadania w teczce.

Zawróciła natychmiast i pobiegła na miejsce zbiórki a w chwili potem wróciła z bułką w ręku i rozkruszyła ją całą dla ptaszków.

Jak się głodne wróbelki cieszyły, jak ćwierkały wesoło!

— No, ale teraz trzeba się zabrać do lepienia kuli. — Tymczasem Zosia z przerażeniem zobaczyła, że masy śniegu zostały już pozabierane przez inne dziewczynki. Wszędzie dokoła śnieg został albo wydeptany albo zgarnięty. Co tu robić? Czyż ona jedna nie zbuduje domku? Pójdzie chyba do p. Wandy użalić się i poradzić się...

Tylko że na zbiórkach zawsze się mówi, że zuch powinien sam sobie umieć radzić...





### „ŚNIEŻNE ZUCHY”.

— Już wiem, co zrobię! Tam dalej jest tyle jeszcze świeżego śniegu, wezmę sanki i na saneczkach przywiozę stamtąd śnieżną kulę.

Pobiegła pędem, wołając Stasię i Henię, które też nie zdołały na czas śniegu zgarnąć i rozglądały się dokoła niepewne, co robić.

We trzy pobiegły teraz żwawo, ciągnąc saneczki za sobą. Po chwili naładowały na sanie wielkie, dobrze ubite kule i szybko ciągnęły je na miejsce zbiórki.

— Patrzcie, jakie to mądrale — powiedziała Władka z uznaniem. (Władka w słowach nie przebiera, ale zawsze potrafi uznać zasługę drugich). — A ja się dziwiłam, poco te sanki tu, gdzie jest tak równo!

Tymczasem śnieżny domek rósł w oczach. Ma już ściany z wielkich kul ulepione, a szpary pozatykane śniegiem. Podłogę udeptano, zrobiono małe okienko i drzwi, a jako dach poukładano splecione gałązki wierzby, na wierzchu zaś przysypano je śniegiem. Prawdziwy śnieżny domek! Taki, w jakich mieszkają Eskimosi! Czy oni tam nie marzną ci ludzie dalekiej północy w śnieżnych domkach?



— Nie marzną, bo są ubrani w skóry zwierząt, a przytem są przyzwyczajeni — objaśniła p. Wanda. — Zresztą czy nie czujecie, że tu w śnieżnej chacie o wiele jest cieplej, niż na dworze?

— O, to prawda! — zawołały dziewczęta.

— Ja się nawet bardzo dziwiłam, że ściany ze śniegu mogą tak dobrze chronić od zimna — dodała Władka.

— Otóż właśnie, śnieg świetnie broni od mrozu, — rzekła drużynowa — dzięki niemu ziarna zboża zasiane jesienią nie zmarzną w ziemi; zwierzęta północne wiedzą o tem doskonale i robią sobie zawsze nory w śniegu. Tak samo czynią psy tam mieszkające a także nasze niedźwiedzie w górach zawsze mają jamy przysypane śniegiem.

— Jak to zabawnie, że śnieg służy za mieszkanie! — zawołała Zosia. — Co to jednak za cudowna rzecz jest śnieg!

— Wszystko na dworze jest cudowne: i mróz i śnieg i wiatr! — rzekła p. Wanda. — Byle tylko w domu za piecem nie siedzieć. Zuchy o tem najlepiej wiedzą, prawda?

— O tak! — krzyknęły chórem wszystkie zuchy.

Z. Wołowska.

## PRZY ZABAWIE.

Mama kazała dzieciom siedzieć cicho i bawić się grzecznie. Więc Hela wzięła swego kota, a tłusty Franuś ptaszka, a prędką Magdzia łódkę. Bawią się. Aż tu Hela mówi: — Chcecie, niech każde powie bajkę o swojej zabawce. Ty, Franku, zacznaj o ptaszku.

— Dobrze — mówi Franuś, co jest bardzo powolny i troszkę niezdarą. — Był sobie ptaszek szczygiełek, co fruwał wysoko, aż do nieba. I był sobie chłopczyk, co musiał chodzić ciągle po ziemi. Chodził, chodził, aż mu się znudziło i pomyślał: i ja też będę latał, jak ten ptaszek. I został lotnikiem.

— Ale ty nie zostaniesz lotnikiem, bo jesteś grubas i niedołęga — mówi Hela.

— Właśnie, że zostanę — broni się chłopiec.

Ale Magdzia przerywa mu i terkocze prędko:

— Hi, hi, hi!... Ty jesteś Franek - grubasek.

I jak zaczęły się śmiać i gadać jedna przez drugą, tak powolny Franuś ani rusz nie mógł im dać rady. Więc się rozplakał i pac! Magdziej i Helę tak tylko, leciutko, a one go zaraz bęc, bęc, bęc! — bardzo mocno.

Zrobił się krzyk. Wchodzi mama: — Co się stało?

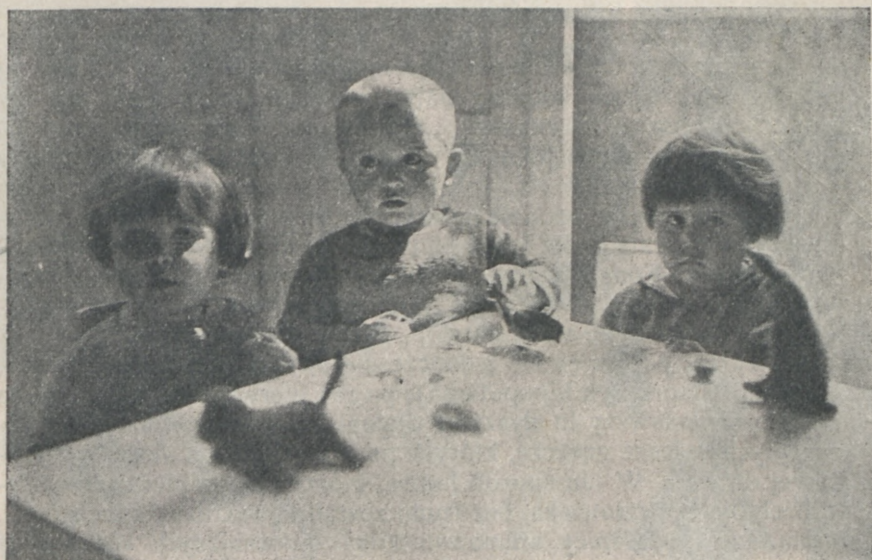
Ale zanim powolny Franuś słowo wyjąkał, już Magdzia trzepie: — Franek nas bije. — Więc mama bardzo się gniewała i powiedziała Frankowi, że w takim razie niema co myśleć o nakręcanym samochodzie. Dzieciaka aż zatknęło ze zmartwienia.

A mama wyszła.

Siedzi Magdzia, patrzy na brata i nic. Hela też patrzy. Myślą obie:

— Biedny ten Franuś grubasek. Przecież to one zaczęły się z niego śmiać. A teraz biedaczek nie dostanie samochodu!





Fot. J. Bulhak.

## HELA, FRANUŚ I MAGDZIA.

Trąciła Hela prędko Magdzię. Trąciła Magdzia Helę. Spojrzały na Franusia, co sobie chlipał cicho. Postanowiły.

Zrywa się Magdzia i cmok Franka w mokrą buzię.

— Franek, przeproś się! — mówi.

A Hela z drugiej strony cmok go w ucho.

— Nie bezc! — powiada.

Gruby Franuś serce miał, jak z wosku, otarł oczka i już się śmieje pocziwie.

— Słuchaj — trzepie Magdzia, — ja ci powiem bajkę o mojej łódce: Była sobie dziewczynka Magdzia, co miała łódkę z żaglem, zupełnie prawdziwą. I wzięła Franka i Helę i kota i ptaszka i pojechali do Krakowa.

— Aha, tam, gdzie to ten smok najadł się siarki i pękł — powiada chłopiec.

— Tak, a potem zakręcili i fiu — prosto do Gdyni.

— Ja wiem — przerywa Hela, — do wujka marynarza.

— A ten wujek... dał im duży, duży samolot — mówi grubasek Franuś i aż mu oczy błyszczą.

*Anna Świrszczyńska.*



## K I N O.

Bywalcom ogrodu zoologicznego mogę gorąco polecić film p. 1. „Congorilla”, w którym zobaczą najwspanialsze okazy zwierząt, zamieszkujących puszcę afrykańską, „upolowanych” na taśmę filmowo-dźwiękową przez państwa Johnson. Jest to bowiem film dokumentalny (o tym rodzaju pisałam w Nr. 14 „Płomyka”), którego jedynym celem jest jak najdokładniejsze oddanie natury. Nieustraszeni podróżnicy, obarżeni ciężkim aparatem do zdjęć filmowo - dźwiękowych, przemierzali dziewicze puszcze Konga, ażeby z możliwie najmniejszej odległości podpatrywać życie dzikich zwierząt na wolności. Nosorożce, hipopotamy, słonie, małpy, krokodyle, stada antylop, gazelli, flamingów, sępów i t. d. zapełniają ekran, popisując się jednocześnie swymi niezawsze dźwięcznymi głosami (naprz. ryk hipopotama), po raz pierwszy utrwalonymi na taśmie. Po raz pierwszy tu słyszymy djalogi „pigmejów”, maleńkich ludzi, zaszytych w leśne gąszcze, których państwo Johnson akurat spotkali na swej drodze. W ten sposób ludzie, którzy po raz pierwszy w życiu widzieli białego człowieka, bez trudu zostali „gwiazdami filmowemi”, albowiem nasi podróżnicy sfilmowali kilka interesujących scen z ich życia.

Miłośników sportu kolarskiego zajmie „Olimpiada miłości”. Bohater jest gazeciarzem, który będąc dobrym cyklistą, postanawia zdobyć mistrzostwo w tym sporcie. Dopomaga mu w tem fabrykant rowerów, a głównie — pewien mały chłopiec, który uważa się za jego przyjaciela, a jest bratem narzeczonej cyklisty. Zanim jednak zwycięstwo zostaje osiągnięte, bohater ma jeszcze dużo przeszkód do zwalczenia. Najbardziej ciekawym punktem filmu są wyścigi cyklistów za motocyklami.

Ponieważ niektóre dzieci, nie mieszkające w Warszawie, skarżą się, że nie widują nigdy tych filmów, o których piszemy w „Płomyku”, lecz filmy dla dorosłych, które ich wcale nie zajmują, pragnę więc im dać na to radę. Niechaj te dzieci, które lubią kino, przedstawią tę sprawę nauczycielce lub nauczycielowi w swojej szkole, a władze szkolne zwrócą się do właściciela kina w danem mieście, ażeby raz na tydzień urządził specjalne przedstawienie dla młodzieży. „Płomyk” chętnie dostarczy listę takich zajmujących i ładnych filmów, a nawet wskaże adresy biur, gdzie je można wynająć.

Czekamy na wiadomości od tych dzieci, które pójdą za naszą radą i życzymy im powodzenia, nie wątpiąc zresztą, że taka zbiorowa prośba o dobre kino dla młodzieży zostanie chętnie uwzględniona.

Stef. H.







— Kim jesteście? — odważyła się zapytać dziewczynka.

## SEN O WIESZCZKACH.

(Przełożył z hiszpańskiego Franciszek Baturewicz)

Dowiedziawszy się, że niema duchów ani wieszczek, Maryla Blanka zasmuciła się po raz pierwszy w życiu.

Czyżby więc te wszystkie opowiadania były fałszywe? Czyżby wieszczki nie istniały naprawdę? Ach, jakążby to była szkoda! Jakież rozczarowanie!

Lecz nie! Ona się z tem nigdy nie zgodzi. Pewno ją oszukują. Chcąc się upewnić, zapytuje mamusi

— Czy naprawdę, mamusiu, duchów ani wieszczek niema na świecie?

— Duchy są, moja najdroższa, lecz znajdują się w niebie i nie możemy ich widzieć. Wieszczki zaś nie istnieją wcale. Stworzyła je wyobraźnia poetów, aby zabawić małe dzieci baśniami.

— A więc dlaczego niema wieszczek, skoro są duchy? — zapytała Marylka, rozumując w sposób dziecinny, lecz z zastanowieniem.



— Duchy, to są aniołowie, otaczający bezpośrednio Boga. Wieszczyki zaś mogłyby być tylko istotami ziemskimi. Nikt jeszcze jednak nigdy naprawdę wieszczyki nie widział, ani też nie ujrzy. A przecież rozumiesz, moja kochana, że każdą rzeczywiście istniejącą na świecie istotę można zobaczyć.

Zamyśliła się dziewczynka, patrząc na mamusię. Wnet jednak, jakby pragnąc zapomnieć o doznanem rozczarowaniu i smutku, który nią owładnął, uciekła do swoich lalek, blondynki Toti i brunetki Mimi. Wkładając na nie, to znowuż zdejmując sukienki, tuliła je do serca, jak najczulsza mamusia.

\*

W nocy Marylka miała sen. Wydało się jej, że znajduje się w jakiejś olbrzymiej ciemnej grocie. Ciemność otaczająca dziewczynkę przerażała jej wrażliwą duszyczkę. Przyszło jej na myśl, że może mamusia ją uratuje. Zawołała więc:

— Mamusiu! mamusiu! Ja tak strasznie się boję!

Mamusia jednak się nie zjawiała. Przerażenie dziewczynki coraz bardziej wzrastało. Ach, jakże strasznie ciemno!

Z pewnością złe duchy ją otaczały.

Marylka, drżąc ze strachu, w swem żalnym osamotnieniu zaczęła płakać.

I lzy jej były prawdziwe, jak prawdziwą była rozpacz, spowodowana przez sen.

Ale cóż to za dziwy?! Każda łezka, spływająca z pięknych i czystych jej oczu, lśniła jakimś cudnym barwnym światłem, spadając bowiem u jej stóp, zamieniała się wnet w cenną skamieniałą perełkę, świecąca mieniącemi się barwami.

Wspaniałe tęcze snopy światła rozprasały coraz bardziej ciemności.

Perły zaś owe i drogocenne kamienie były wszelkiego rodzaju. Tu topaz, tam szmaragd, tam znowu ametyst, szafir lub rubin.

Marylka patrzała zdumiona. Cóż miało znaczyć to wszystko? Nie bała się już; przeciwnie, doznawała niezmiernie błogiego uczucia szczęśliwości.

Tymczasem z drogocennych kamieni zaczęły wyrastać wiotkie, uskrzydłone, jak aniołowie, istoty. Każda z nich promieniała tem samem światłem, co i kamień, z którego się wyłoniła.

Jaśniejące własnem światłem oblicza tych niewieścich postaci oraz rozpuszczone ich włosy, podobne raczej do promieni słonecznych, napały prawdziwą rozkoszą wzrok przejętej podziwem Maryli.

— Kimże jesteście? — odważyła się zapytać dziewczynka.

— Otóż słuchaj — odezwała się wieszczyka - topaz, która się wydała dziewczynce najweselszą ze wszystkich. — Jestem Radością i pragnę, byś mogła się cieszyć, widząc w życiu tylko to, co najpiękniejsze. Skoro cię kiedy cośkolwiek zasmuci, przypomnij sobie o mnie, a będziesz szczęśliwą.



— Gdzieżbym cię mogła zobaczyć? — zapytała znowu dziewczynka.

— W promieniu słonecznym i w kwiatach, w śpiewie ptaszek i w śmiechu dzieci, podobnych do ciebie, we wszystkim możesz mnie znaleźć, co tylko jest czyste i dobre.

— A ja jestem Nadzieją — rzekła następnie wieszczka - szmaragd. — Skoroś się tu ze mną spotkała, staraj się, byś nie straciła mię nigdy. Największe rozczarowania zamienią ci się ze mną w nowe siły ufności i pogody. Serce twoje nie zestarzeje się nigdy i zawsze będziesz miała przed sobą jakieś ideały, które ci zastąpią to, co już jest pogrzebane.

— Ja zaś — przemówiła wieszczka-ametyst — symbolizuję Wiarę. — Nie trać mię nigdy. A skoro kiedy się znajdziesz pośród takiej ciemności, jak dzisiejszej nocy, przypomnij sobie o mnie, a wtedy przeniknie cię światło i ujrzysz wszystko dokoła.

— Ja znowuż — rzekła wieszczka - szafir — jestem Marzeniem. — Skoroś mię dzisiaj poznała, udzielię ci daru, który pozwoli ci marzyć bez snu. To ci da możność zapomnienia o wszystkim, co wstrętne. W swej wyobraźni będziesz miała niewyczerpany skarbiec piękna, które nigdy niem być nie przestanie, chociażby nawet było dalekiem od życia.

— A ja — rzekła wreszcie wieszczka - rubin — jestem Miłością. — Widziałas mię już nieraz w pieszczotach twoich rodziców i w spojrzeniu kochających cię osób. Odtąd pragnę, byś dała mi miejsce w swoim serduszk. Ze mną będziesz mogła przeistoczyć zupełnie swe życie. Uczujesz w sobie słodycz niebiańską, posiadasz wszelką wiedzę i cnotę. Kochaj, gdyż tylko kochając zdobędziesz szczęście niewymowne, jakiego doznają sami aniołowie w niebie i zdobędziesz moc dokonywania cudów w życiu, jak to czyniły my, wieszczki.

— A teraz zbliż się, niech cię ucałujemy — zakończyły wieszczki.

\*

Obudziwszy się i przypomniawszy sobie ten cudowny sen, Marylka rzekła sobie w duchu, że zarówno koleżanki ze szkoły jak i matka musiały się chyba mylić, twierdząc, że wieszczki nie istnieją.

I rzeczywiście, Radość, Nadzieja, Wiara, Marzenie i Miłość towarzyszyły Marylce przez całe życie, użyczając jej nieustannie cennych swych darów, obiecanych podczas tego cudnego snu.







## WYCIECZKI ZIMOWE.

Wycieczka! Najpiękniejsze słowo w uczniowskim słowniku! Ile uroku mieści to słowo! Ile miłych wspomnień! Ileż ciekawych spostrzeżeń!

Wiedzą o tem dobrze ci, co chociaż raz spróbowali włóczęgi po kraju...

Po pierwszej już wycieczce czują, że są niezbyt dalekimi krewnymi Cyganów... I już myślą o następnej wycieczce. Jest tych różnych włóczykijów coraz więcej.

A gdy przyjdzie czerwiec, zaczyna się istna wędrówka klas i całych szkół: „czarni” (ze wsi) robią najazdy na miasta, „białe twarze” (mieszczuchy) uciekają w góry, a czasem to i na morze się puszcza...

Ale to tylko w czerwcu...

A potem cały długi, długi Boży rok myślą znów o czerwcu. Dla prawdziwego Cygana jest to piekielnie długie czekanie. Nie! Nie wytrzyma! Wszak i zimą można wyjechać! A cóż to zima! Zima ze wszystkimi jej przyjemnościami (sanki, lód, narty, krajobraz zimowy, powietrze i t. d.) nie ustępuje urokiem latu! A że trzeba się cieplej ubrać — to i cóż? I trochę się hartować — tem lepiej!

Pojedzie!

Ale, ale... A skąd wziąć pieniędzy?

„Wziąć”... To brzydkie słowo! Wyrzucmy je z naszego słownika! Zamiast „wziąć”, „brać” — czy nie lepiej np. *oszczędzać*? Oszczędzać choćby po groszu. Już po paru miesiącach będą złotówki.

A przedstawienie? A zorganizowanie choćby takiego „przedsiębiorstwa handlowego”, jak np. oprawiania książek? Znam jedną szkołę, która dzięki niemu ma pokaźne dochody.

I oto możemy już teraz poważnie myśleć o wyjeździe.

Jeżeli pieniędzy niedużo, no, to jedziemy gdzieś bliżej i na krótko, jeżeli dużo, no, to choćby w Tatry, w Karpaty, w Świętokrzyskie! Niech



się zresztą o to — gdzie? — martwią trochę razem z nami i nasi wychowawcy!

No tak. Pięknie. Ale są i tacy, którzy nawet butów całych nie mają... Gdzież takiemu marzyć o wycieczce zimowej!

Wiem o tem. Ale też wiem, że gromada, gromada zorganizowana (a tylko taką powinna być klasa) dużo może zrobić. Gromada nie zapomni o poszczególnych jednostkach!

Dziś wszyscy pomagają nam i ułatwiają pracę. Kolej zniża cenę biletu. P. K. O. przyjmuje oszczędności, poczynszy już od 1 zł.

Resztę trudności musimy pokonać już sami!

Więc do roboty! Może jeszcze w tym roku skorzystacie z okazji!

A nie zapomnijcie wtedy donieść o tem „Płomykowi”.

Jan Poźniak.

### PRZYSZŁA DO NAS ZIMA...

*Przyszła do nas zima,  
przyszła zima biała.*

*Nie chodź do ogrodu,  
Marysieńko mała!*

*— A ja się nie zleknę,  
mam ciepłą sukienkę.*

*Chustką się owinę:  
nie boję się zimy!*

*— A ten Mróz niecnota  
czai się z za płota.*

*Śniegiem cię zasypie,  
za uszy wyszczypie.*

*— Co tam Mróz - staruszek!  
Nie dam mu swych uszek!*

*Z sankami po śniegu  
ucieknę od niego,*

*z sankami przez dróżki,  
bo mam młode nóżki!*

J. MAJEWSKA.





20)

## BURSZTYNOWY TALIZMAN.

Opowiadanie z czasów dzisiejszych.

Napisana E. Szelburg-Zarembina.

Nikt wówczas nie żałował grzbietu, ni ramion, do krwi przecieranych przez zarzuconą na nie szleję. Ciągnął każdy ze wszystkich sił swoich: mężczyzna, kobieta, dziecko... A potem następował podział na części, czyli party. Starodawny obyczaj był taki, że rybak dorosły, najciężej pracujący, dostawał cały part; kobieta, pracująca w tych sieciach, dostawała pół partu; chłopcom pracującym i pracującym dziewczętom dawano po ćwierci partu. Nie zapominano jednak i o tych, co sami zapracować nie mogli: o maleńkich dzieciach, starcach i chorych. Ci, choć w połowie nie brali udziału, że nie z ich to było winy, też dostawali część swoją.

Tak wszyscy byli obdzieleni po sprawiedliwości i wszyscy byli syci. Słabi serca mieli pełne wdzięczności dla mocnych, a mocni mieli spokój w sercach swoich.

Tak prawil stary rybak Sulica, oddając Piotrusiowi zapracowany przez niego pieniądz.

Chłopiec pokraśniał z dumy i — zadowolony zaraz złożył ten srebrny pieniądz w spracowane ręce pani Teresy Sulicowej:

— Proszę, niech pani gospodyni zaliczy to na rachunek kosztów mojego tu utrzymania — powiedział godnie. Pamiętał, że podobnie mówiła jego matka, płacąc gospodarzowi zadatek na komorne.

Wahała się rybaczka, tłumacząc, że to pan Słonczyński obiecał za Piotrusia płacić, ale Piotruś rozstrzygnął temi słowami:

— Jak mogę sam zapracować, to i powinienem sam płacić.

— Dech to jest fest powiedzone \*) — przyświadczył Sulica, rozdzielając po kromce chleb, przywieziony z targu.

Na tem stanęło. Umilkli wszyscy i posilali się żwawo.

Łagodny powiew wiatru od morza wpadł przez uchylone drzwi i otwarte okna. Miękkim pogłaskaniem dotknął włosów i opalanej twarzy Piotrusia.

Uśmiechnął się chłopiec ustami, pełnemi ryby i chleba: tak oto w rzadkich dobrych chwilach głąskały go szorstkie, ciepłe ręce matki. Westchnął sobie ze szczęścia: — Mnie tutaj dobrze i moim tam teraz dobrze. A wszystko dlatego, że są ludzie, co drugim pomogą.

I pełen wdzięczności postanowił Piotruś, oprócz listu do domu, napisać długi — długi list do pani Adelinki. A także króciutką kartkę do tego jegomościa, pani Adelinki sąsiada-staruszka, który to obiecał, że zamiast jednego trzcinowego fotela dla siebie, wstawi do swego ogródka dziesięć ławek i skrzynię z piaskiem dla dzieci.

Doniesie także im wszystkim, że właśnie do Klubu Bursztynowych Serduszek werbuje członków tutaj nad morzem. Już znalazł kandydatów: Hedwiśkę, Jouzka z Jankem i Karla.

\*) To jest dobrze powiedziane.





... popędził ku niej...

R o z d z i a ł VI.  
S E R C Ę W B U R S Z T Y N I E.

— Patrz, com znalazła, i ciesz się! Oto twoja zguba!

Tak wołała Bursztynowa dziewczynka, trzymając na otwartej dłońce małe bursztynowe serduszko, zawieszone na czerwonej tasiemce, na której widniały ślady kilkudniowego leżenia w wilgotnym piasku.

Było właśnie po ulewnym deszczu. Drobne, przybrzeżne fale, ubite na szarą pianę, aż gęste były od pływających brunatnych wodorostów, usianych pęcherzykami, i cienkich wiotkich morskich traw.

Na głos Bursztynowej dziewczynki odwrócił się Piotruś natychmiast, żywo wyskoczył z wody i popędził ku niej, umiejętnie wymijając, to przeskakując małe, grzebiące w piasku łopatkami brzdące.

*Dalszy ciąg nastąpi.*





WSZYSTKICH SLICZNIE OSTRZYGŁEM, ALE JAK OSTRZYĆ TEGO  
JEŻOZWIERZA - ELEGANTA?



20)

## TAJEMNICA HOGGARU.

*Napisał L. Życki-Matachowski.*

— Właśnie, dziecino — rzekł w ten znany Telesforkowi, zimny i kategoriyczny sposób ojciec, — że najważniejszą dla ciebie sprawą będzie promocja i nie radzę ci, żebyś ją sobie lekceważył. Ja wyjeżdżam sam, a ty zostaniesz z mamusią i z Wandeczką, a jeżeli nie będziesz się uczył, jak należy, to cię nigdy do siebie nie zabiorę.

Na taki wyrok Telesforkowi nie pozostało nic innego, tylko zwiesić głowę i pożegnać się z piastowanemi w duszy marzeniami o odgrywaniu wielkiej roli wśród Tuaregów.

I wdodatku nikt go nie pocieszał w tej wielkiej niedoli, gdyż tatuś wyjeżdżał i wszyscy byli zajęci przygotowaniem mu walizek.

Nad wieczorem wrócił Ali ben Mohamed z wujaszkiem z miasta. Amenokal był zachwycony Warszawą, mimo, że znał niemal wszystkie stolice europejskie. — Warszawa — mówił — ma tyle niewysłowionego czaru, tyle wdzięku, że każdy cudzoziemiec może ją zwiedzać z pożytkiem i przyjemnością. Szkoda tylko, że tak mało zagranica wie o waszym kraju i o waszej stolicy.

— Niestety, to już taka nasza narodowa wada, że cudze wychwalamy, a o piękności swego nie mamy pojęcia — rzekła mu na to ze smutnym uśmiechem pani Łamicka.

W tym sensie rozmawiano jeszcze długo w wieczór, przyczem zauważono, że Telesforek stara się zbliżyć do wodza i w tym celu wydobywa z lamusa swej pamięci cały zapas francuskich słówek. Wreszcie ten, widząc owe zabiegi, zapytał go wprost, jakie ma życzenie.

— Jabym prosił, żeby pan amenokal chciał się nam pokazać w swoim stroju. Podobno ma go pan w walizie?

Tatusz zmarszczył się na tę prośbę, ale wódz chętnie przychylił się do niej, zadowolony w głębi duszy, że może pokazać tym ludziom północy piękno stroju swego ludu. Wyszedł też zaraz do swego pokoju i po chwili wrócił zmieniony nie do poznania. To już nie był ukladny pan w europejskiem ubraniu, a dziki koczownik.

Strój jego składał się z jedwabnej koszuli o szerokich, bufiastych rękawach i czerwonych, sfałdowanych spodniach, wpuszczonych w niskie buty safjanowe, ozdobione bogato wyszywaniami. Na głowie miał turban z nieodłączną zasłoną na usta. Zasłona ta jest dla Tuarega oznaką szlacheckości, nie zdejmuje on jej prawie nigdy. Lecz pochodzenie zasłony wywodzi się z czysto praktycznej potrzeby: zasłaniania ust przed pyłem pustyni.

Na ten strój amenokal narzucił bogaty burnus z czarnego jedwabiu, oraz zawiesił na szyi nieodstępne od całości stroju maleńkie, skórzane pudełeczka z amuletami na jedwabnych sznureczkach.

Tuaregowie są bardzo przesądni, to też obwieszają się amuletami, mającemi chronić przed złemi duchami, urocznem spojrzeniem lub innymi nieszczęściami.



Telesforek był nie tylko budowniczym maszyn, ale i wielkim fotografem. Miał niezły aparat i robił zupełnie dobre zdjęcia. Zaraz też pobiegł po swój aparat, żeby uwiecznić tę uroczystą chwilę. Fotografia amenokala należała do najbardziej udanych w zbiorze Telesforka.

Następne dni nie przyniosły nic nowego, oprócz zdwojonej ciekawości kolegów Telesforka, której nie mógł jednak zaspakajać wobec katagorycznego zakazu ojca.

Inżynier Łamicki bawił wciąż jeszcze na Górnym Śląsku a wujaszek wyjechał wraz z amenokalem do Krakowa, by mu pokazać piękno tej starej polskiej stolicy. Stamtąd miał się wujaszek udać do Borysławia, Tuareg natomiast miał udać się samolotem do Wiednia.

Chciał on jeszcze przed powrotem w rodzinne góry spędzić jakiś czas ze swą matką, która od szeregu lat mieszkała w Paryżu.

Tak więc rozerwało się to koło ludzi, których zbliżył kaprys losu. Miało się jednak zejść w innych już warunkach i pod innym niebem.

#### WYJAZD.

Miesiąc upłynął, jakby z bicza strzelił. Telesforek dziwnie się przez ten przeciąg czasu odmienił. W klasie zaczął się uczyć całkiem znośnie a francuskiego i geografji zupełnie przyzwoicie.

Chłopak nie dał jeszcze za wygraną i wciąż spodziewał się, że ojciec w końcu da się przebłagać i zabierze go ze sobą na wielką wyprawę.

Przygotowania zbliżały się w szybkim tempie ku końcowi. Maszyny wiertnicze, dynamo, pompy motorowe, szyny, wagonetki — wszystko to było nagwałt wykańczane, pakowane do ogromnych skrzyń i wysyłane przez fabryki do Gdyni, gdzie je zaraz ładowano na transportowiec „Przyszłość”, specjalnie wynajęty od „Polskiego Towarzystwa Żeglugi Morskiej”.

Pod fachowem kierownictwem docenta Zadory (tak się nazywał wujaszek Jurek) przygotowywano część ładunku, niezbędną do rozpoczęcia pomiarów i robót wstępnych w ten sposób, by go umożliwić do transportowania na wielbłądach. Reszta miała czekać w Oranie, aż się pobuduje odpowiednie składy i hale, by móc bez straty czasu zająć się montażem potrzebnych maszyn. W planach amenokala leżało bowiem jak najszybsze i nie wzbudzające niczyjej uwagi zbudowanie urządzeń nawadniających w niedostępnych dolinach górskich Hoggaru; skupienie w nich, rozsypanych obecnie po pustyni, plemion Tuaregów i z tą siłą oparcie się możliwym zakusom przeciw ich niepodległości oraz rozszerzanie terenów uprawnych poza opiekuńcze góry.

Wreszcie i te żmudne przygotowania dobiegły końca i pewnego, pięknego poranku wiosennego znaleźli się wszyscy nasi znajomi na molo portu gdyńskiego, gdzie przycumowany do nabrzeża stał gotowy do drogi transportowiec „Przyszłość”. Załadowanie już ukończono. Załoga wraz z kapitanem stała już na swych stanowiskach. Potrzeba było tylko sygnału do odjazdu, by wyruszyć na ten podbój nowego świata.



Kilkadziesiąt osób odprowadzało wyjeżdżających. Byli to krewni i przyjaciele drużyny, zwerbowanej przez Łamickiego i Zadorę. W wyprawie miało bowiem wziąć udział jeszcze dwóch inżynierów, pięciu górników, trzech geometrów i dwóch wiertaczy. Czterech monterów miało przybyć z drugim transportem maszyn, których nie zdołano na czas wykończyć. Była to zatem niezła gromadka, a wszystko chłopcy naschwał, za piecem nie chowane i żadnych się niebezpieczeństw nie lękające.

Wujaszek Jurek sobie dużo po nich obiecywał, zwłaszcza, że sprawa z „czcicielami wody” nie była do tej pory prawdopodobnie załatwiona.

Wszyscy oni byli dobrej myśli, lecz matki ich i krewni (wszyscy oni byli nieżonaci) popłakiwali sobie trochę, gdyż to przecie i świat drogi i kraj nieznanym owa Afryka.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

## SZOPKARZE W SIEROCIŃCU.

Na przedmieściu stoi dom piętrowy  
czysty i nowy.

W domu tym mieszkają dzieci: -  
dziewczęta i chłopcy,  
bliscy sobie, jak rodzeństwo,  
choć zupełnie obcy.

Ten dom to jest Sierociniec.  
Te dzieci — sieroty bez ojca i matki.  
Opiekunką zaś całej gromadki  
jest dobra i słodka  
panna Dobrotka.

O wszystkie dzieci troszczy się sama,  
jak rodzona mama.

Dobrze jest dzieciom tutaj.

Mają ciepło, są odziane i umyte,  
są syte,

uczą się, jak wyrosnąć  
na mądrych, dzielnych ludzi.

Lecz... gdy przychodzą święta,  
tęsknota w sercach ich się budzi,  
że bez rodziny są, że same...

Wspominają więc i dom i tatę,  
i mamę...

Nic rozweselić ich nie może:

ani choinka zielona na sali,

ani śnieg biały na dworze...

I chodzą z kąta w kąt smutne, osowiałe  
sieroty małe.

Wtedy to wesoła i słodka  
opiekunka ich, panna Dobrotka,

pośród dziećmi siada,

jedno pogłaszcze, inne przytuli

i tak powiada:

— W piątek było Trzech Króli,

tych, co szli witać Jezuska

do Betleemskiej stajenki,

gdy się narodził, maleńki.

Król Kacper wiół w podarku  
grzechotkę złotą,  
aby Dzieciąteczko  
bawić z ochotą.

Król Melchior kadzidła dźwigał  
niemało,  
żeby w tej stajence pięknie pachniało.  
A ten król Baltazar, mówiąc niewiele,  
niósł cudowną mirrę, przedziwne  
ziele. —

Tak opowiada panna Dobrotka,  
a sierotka jedna przez drugą wygląda  
oknem Sierocińca,  
czy też nie wędruje kto środkiem  
gościńca.

Bo może,  
o tej właśnie porze  
i dziś

Trzej Króle będą z hołdem jechać  
albo iść

do Betleemu, do stajenki,  
gdzie czeka Jezus maleńki?

Jakże ich zobaczyć rada  
nasza gromada!

Mówi mała Janka

do dużego Franka:

— Powiem ci, Franku, szczerze,

chciałabym bardzo zobaczyć,

jak król Baltazar będzie jechał  
na dromaderze.

A król Melchior jeszcze uroczyściej

na białym słoniu będzie siedział

w palankinie z palmowych liści.

A król Kacper,

tego ci nawet opowiedzieć nie potrafię.

Jak ślicznie będzie wyglądał,

jadąc na złotej żyrafie. —



— A ja — powiada Franek, —  
chciałbym zobaczyć pasterzy,  
których gromada do stajenki bieży.

— A ja — mówi Zula —  
bardzobym chciała zobaczyć  
Heroda, złego króla.

— Jabym wołała —  
woła Helka mała —  
widzieć huzara z Małgorzatką,  
jak tam w stajence  
tańczyli gładko.

— Ale cóż, choć to święta,  
nikt o nas, sierotach, nie pamięta.

Tak mówią w Sierocińcu dzieci.  
A wtem, za oknem gwiazda zaświeci  
i, jak świąteczny obyczaj każe,  
śliczną kolendę śpiewają szopkarze!...  
A potem... czy to się dzieciom śni?...  
do Sierocińca stukają drzwi:

— Drzwi nam otwierajcie,  
do sieni puszczajcie.

Przyszliśmy was ucieszyć,  
lecz musimy się śpieszyć,  
otwierajcie drzwi! —

Tak wołają poczciwi szopkarze.  
Zaraz się dzieciom rozjaśniły twarze.  
Otworzyły drzwi raz-dwa-trzy!  
Weszła Szopka, jak się patrzy.

— Patrzcie duzi! Patrzcie mali!  
Będziemy wam przedstawiali  
szopkową modę,  
śmierciczkę z Herodem,  
djabła, jak kleci masło Babie Jędzy  
i tego organistę, który ich przepędzi.  
Zobaczycie zaraz sami  
Małgorzatkę z huzarami,  
jak tańczyła za górami.

Hu ha!

Kto ma oczy — patrzy.  
Kto ma uszy — słucha! —

Tak wołają szopkarze,  
a dzieciom z radości błyszczą oczy,  
a dzieciom serduszko małe nie  
wyskoczy.

Ale cyt! Uwaga! Cicho!  
Już szopeczka ustawiona.  
Z każdego boku szopki  
świeczka zapalona.  
Idzie w górę zasłonka

i na malutkiej scenie  
rozpoczyna się wielkie przedstawienie.  
Czego tam nie było!

Co się tam nie działo!

Tuzin kukiełek tańczyło!

Tuzin kukiełek śpiewało!

Byli Trzej Króle z darami,  
pasterze z owieczkami,  
był kominiarz i młynarz,  
była Małgorzata, jej ojciec i matka.

była czarownica,  
baba kudłata i złego lica,  
co po szopce hyca.

Była śmierć z kosą,  
król Heród i djabliki,  
co robią różne figliki.

Cieszyły się dzieci z Sierocińca,  
że im mili szopkarze  
takiego przynieśli gościńca.

Lecz oto, wszystko swój koniec ma:  
ustały kukieleczki,  
wypaliły się świeczki,  
ledwie ostatni płomyk drga...

Przed zapuszczoną  
perkalikową zasłoną  
staje kukielka szmaciana,  
za dziadusia przebrana,  
siwą brodą kiwa

i tak się do dzieci odzywa:  
— Jakem dziaduś siwy,  
ogromniem szczęśliwy,  
że się wszystko tak udało,  
że się wam tak podobało  
w tej naszej szopeczce.

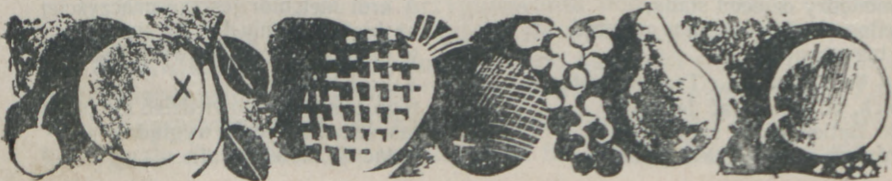
Żeście radzi szopczkarzom,  
kolendnikom i gwiazddziarzom  
no troszeczkę.

Już jest teraz późna pora  
trzejkrólowego wieczora.  
Czas wam, kukielkom, do domu, czas.  
Więc, miłe dzieci, żegnamy was.

Takie oto w zimowy wieczór  
było przedstawienie w tej szopeczce,  
na malutkiej scenie, że nie mogło być  
lepiej i lepiej nie trzeba.

A kto patrzył? A kto słuchał?  
Wszystkie dzieci z Sierocińca i Pan  
Jezus z nieba.

E. Szelburg-Zarembina.





## Co u nas słycać.



SEKCJA MODELARSTWA LOTNICZEGO W SZKOLE W WIERZBNIKU.

### KOCHANY „PŁOMYKU”.

Przesyłamy Ci naszą fotografię, ilustrującą życie naszej 7-mio kl. szkoły powszechnej w Wierzbniku. Przedstawia ona sekcję modelarstwa lotniczego przy pracy nad modelami samolotów, które choć małe, unoszą się w powietrzu, jak prawdziwe. Sekcja ta jest częścią Szkolnego Koła L. O. P. P., jakie zostało założone w naszej szkole zaraz po zwycięstwie międzynarodowym ś. p. Żwirki i Wigury przez p. Królikowskiego, opiekuna naszego Koła. Wkrótce po założeniu, jak grom spadła na nas wieść, że ci, co byli impulsem naszej pracy, zginęli tragicznie. Rozżaleni, zrobiliśmy akademję ku uczczeniu pamięci por. Żwirki i inż. Wigury. Na tej akademji przyjęło nasze Koło nazwę imienia Żwirki i Wigury, aby zadokumentować, że i po śmierci będą przewodnikami naszej pracy.

Na fotografii widać jeszcze szarfy żałobne i zestawienia fotografii, ilustrujących zwycięstwo i tragiczny lot ś. p. por. Żwirki i inż. Wigury.

Przesyłając fotografię, uprzejmie prosimy o zamieszczenie jej i naszego liściku w „Płomyku”.

Sekretarz:  
*J. Perchel*

Prezes:  
*J. Orzel*



## KURY W ZIMIE.

Nikomu nie trzeba mówić o tem, że jaja od kurek zimą są więcej warte, niż te same jaja w lecie.

Niestety, kury, jakby się umówiły, nie chcą nieść zimą, tylko latem. Dlaczego tak jest? Gdy się przyjrzymy naszym czubatkom zimą i latem, to od razu rozumiemy, czemu się tak dzieje. Latem kury kręcą się żywo, grzebią i coraz to jakiś smaczny kąsek sobie zdobywają, kąpią się w piasku, czem chronią się od dokuczających pasorzytów, i godzinami wygrzewają się na słońcu. Przebywają  $\frac{3}{4}$  doby na powietrzu.

Inaczej zimą. Siedzą nastroszone pod okapem, niechętnie się ruszają. Kapać się nie mogą, bo wszystko zmarznęte, i zjadła mają tylko to, co im gospodyni rzuci, a wieczorem idą spać do zimnego i często brudnego kurnika.

Nic też dziwnego, że jajek od takich kur, jak to się mówi, niema „ani na lekarstwo”. Gdyby jednak chcieć, to mogłoby być całkiem inaczej, trzeba tylko trochę starania. Zacząć trzeba od kurnika. Dobrzeby było, aby dzieci, zastępując rodziców, zajęły się tą sprawą. Kilka godzin rzetelnej pracy i wszystko będzie można doprowadzić do porządku. Wewnątrz trzeba wszystko wymieść i wytrzeć starannie. Wszelkie szpary zalepia się gliną i następnie bieli całe ściany wapnem z dodatkiem karbolu, lisolu lub kreoliny. Wystarczy na średni kurnik za 50 gr. któregokolwiek z tych środków. Gniazda i grzędy oskrobuje się z nieczystości i szoruje ługiem.

Grzędy powinny być umieszczone wszystkie na jednym poziomie, na wysokości pół metra, grzęda nad grzędą powinna być co trzy czwarte metra. Na dno kładziemy pięćdziesięciocentymetrową warstwę końskiego gnoju i uklepujemy ją mocno. Nawóz ten się nie zmarnuje i na wiosnę może być wywieziony w pole, a tymczasem ciepło, wydzielające się z niego, będzie ogrzewało nasze kury. W kącie trzeba ustawić sporą skrzynkę, wypełnioną piaskiem lub popiołem, w tem się kurki kapać będą, co je uchroni od plagi ptasiego rodzaju, od rozmaitych pasorzytów, które dręczą je niewypowiedzianie.

Pierwszą karmę dajemy możliwie jak najwcześniej z rana, drugą dajemy około 10-ej. To pierwsze śniadanie składać się powinno z t. zw. karmy miękkiej z dodatkiem grubych pszennych otrąb. Te dajemy zawsze ciepłe. W południe powinny kury dostać trochę ziarna skielkowanego. Najlepszą tu będzie skielkowana kukurydza lub owies, oraz parę garści kwaszonej kapusty, trochę podegrzanej i trochę kartofli z osypką.

Ziarna nie należy sypać wprost na ziemię, a w ściółkę kurnika, a to dlatego, by pobudzić kury do ruchu. W tym samym celu w każdym kurniku powinna być zawieszona na sznurku przepołowiona główka kapusty, burak lub marchew pastwana. Kury dziobią to bardzo chętnie, przyczem podskakują, co na ich zdrowie wpływa dodatnio. Główną dawkę ziarna dajemy przed wieczorem, t. j. gdy jest jeszcze jasno, a to dlatego, że kura ziarno trawi znacznie dłużej, niż karmę miękką. Zimą drób potrzebuje wiele wody; gdy jej nie ma poddostatkiem, potyka kawałki lodu, co jest bardzo szkodliwe. Należy baczyć, aby miały poddostatkiem czystej, podegrzanej wody.

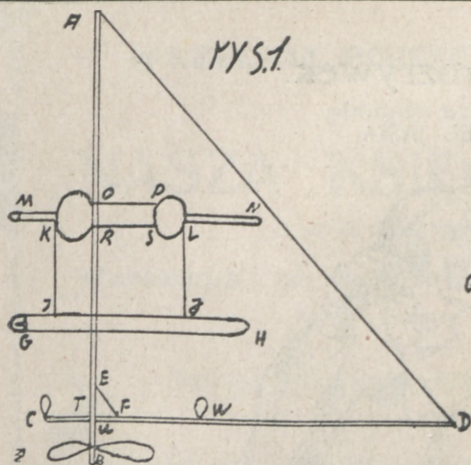
Tak hodowane kury na pewno będą się niosły i zimą.

*Marzenna Saryusz-Stokowska.*

## ŻAGIEL DO ŁYŻEW.

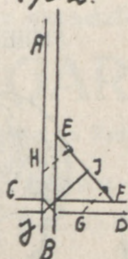
Ci, którzy mieszkają nad jakimś jeziorem, rzeką, czy nawet stawem, wiedzą, jaką przyjemnością jest jazda z żaglem. Naturalnie, mogą jej używać tylko ci, którzy już na łyżwach dobrze jeżdżą. Taki żagiel nie zajmuje zbyt wiele miejsca, da się składać, no, i można go samemu wykonać. Trzeba mieć dwa proste, równej długości kije, dosyć mocne, nieco płótna, rzemieni i sznurka. Na rys. 1 widzimy żagiel przed założeniem na plecy, na rys. 3, żagiel już założony. Na rys. 1 linje od



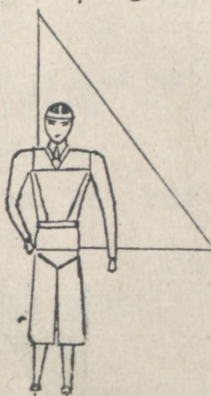


RYS. 1

RYS. 2.



RYS. 3



A — B i od C — D oznaczają kije, na których jest rozpięty żagiel, zaznaczony linią A — D. Kreski przy M i N oznaczają paski, które przymocowujemy żagiel na piersiach, linie O—P i R—S, są to cienkie rzemyki, łączące na plecach kółka, obejmujące ramiona. Kółka te są zrobione z dosyć szerokich rzemienn i nie powinny ramion ugniatać. Linje G—H oznaczają pas główny, którym się umocowuje żagiel w pasie. Ma być mocny i dosyć szeroki. Linje K—I oraz L—J, które łączą pas z kółkami, są to cienkie rzemyki, wzmacniające całe urządzenie. Dwie pętle na dole masztu, przy literze B, są to pętle na nogi, nie pozwalające żaglowi zbyttno się pochylić, a tem samem tracić wiele wiatru. Pętle przy C oraz W są na ręce i służą do kierowania żaglem. Pętle nożne zakłada się wysoko na uda, a ręcznych używa się w miarę potrzeby. Wszystkie wiązania są z lewej strony o wiele dłuższe, ponieważ maszt przymocowuje się przy prawem ramieniu. Rys. 2 przedstawia sposób połączenia drążków. Litery A — B oznaczają kij pionowy, C — D poziomy. E — F, tak jak i na ryc. 1, oznacza trójkąt, łączący oba kije. H i G oznaczają gwoździe, I — J oznacza sznurek, który wiążemy nakrzyż. Całość nie powinna wystawać nad ramię wyżej, niż na wysokość podniesionego do góry ramienia. Płótno powinno być dosyć mocne, żeby zbyt łatwo nie rozdzierało się, żagiel powinien obracać się nie więcej, jak tyle, żeby mógł być prostopadły do pleców. Najlepiej przywiązać do kija poziomego sznurek i umocować go z lewej strony pasa. Jak już łód będzie mocny, zróbcie pierwszą próbę żagla, a uważajcie, żeby się nie wyrzucić, bo szybkość osiągnąć można znaczną i można się trochę potłuc.

Zygmunt Bieliński.

## „G Ó R K A”.

Kolonja Lecznicza Dziecięca im. Dr. med. Rektora J. Brudzińskiego przy Zdroju w Busku, woj. kieleckie.

Sanatorjum dla dzieci od 4 — 14 lat czynne cały rok.

Przyjmuje się dzieci ze schorzeniami kośćca (t. zw. gruźlica pozapłucna, reumatyzm, zapalenie szpiku kostnego), krzywicą, anemią.

Od dn. 1.XI.32 przyjmowane są również dzieci nerwowe oraz cofnięte w rozwoju.

Szkola sanatoryjna przyjmuje również dzieci wątłe, rekonwalescentów i t. p., które w czasie leczenia przechodzą normalny kurs szkolny. Opłaty niskie.

Instytucja społeczna. Informacje pisemne pod adresem:

Busko - Zdrój, Górka, tel. 18.



## Dział rozrywek.

FIGIEL JASIA.



Jaś dostał 6 orzechów i ułożył je w trzy rzędy tak, że w każdym rzędzie

miał po 3 orzechy. Jak Jaś orzechy ułożył?

### SKŁADANKA.

(Ułożyła Z. S.).

Sasankom zabierz dwie litery,  
tyleż modrakom: już masz cztery;  
z ulotki trzy wziąć ci wypadnie.

Złóż to wszystko ładnie,  
a wzleci wysoko,  
nie dojrzy go oko.

### HALLO! TU MÓWI DO WAS RADJO!

Skończyły się ferie, rozpoczęła się znów praca szkolna. „Kącik radiowy” życzy swoim czytelnikom i słuchaczom powodzenia w nauce, a gdy się znajdzie wolna chwila, zaprasza do aparatu radiowego.

Dzisiejszy (18.I g. 15.35) program, przeznaczony dla młodszej dziatwy, wypełni wesoła bajka p. t. „Dwa szczury” (szczur polny i domowy) oraz zajmujące Szaradki „zagadkowego” wujaszka.

W sobotę (21.I g. 15.35) — zradjofonizowane opowiadanie pióra znakomitego pisarza, Wacława Sieroszewskiego p. t. „Wilczy muzykant”. Troszkę to straszna, ale jeszcze więcej zabawna przygoda wiejskiego grajka, który, podpiszwszy sobie, wpada do wilczego dołu i spędza noc w towarzystwie wilka. Program niedzielny (22.I g. 16.00) oprócz radjotygodnika „Co się dzieje na świecie” zawiera niezmiernie zajmującą pogawędkę p. t. „Rycerz w lodowej zbroi”. Treść jej stanowią przygody bohaterskich podróżników (Amundsen, André, Peary i inni), którym ludzkość zawdzięcza odkrycie i poznanie podbiegunowych lądów i którzy życiem własnym płacili za wydarte dziękę, północnej przyrodzie, tajemnice.

Dzisiaj, gdy pierwsza polska ekspedycja polarna, przebywająca na dalekiej wyspie Björnöja, zbliżyła nas ino do tych podbiegunowych krain — opowiadanie o „bohaterach północy” winno zainteresować wszystką młodzież. Przypominamy, że po chwilowej przerwie świątecznej, czwartkowe poranki muzyczne dla młodzieży i sobotnie „audycje szkolne” nadawane są o zwykłej porze.



# WSZELKIE PODRĘCZNIKI SZKOLNE

posiada na składzie

## „NASZA KSIĘGARNIA“ SP. AKC.

Związku Nauczycielstwa Polskiego

**Warszawa, ul. Świętokrzyska 18. Tel. 798-18.**

Konto czekowe P. K. O. 2.058.

### WYDAWNICTWA WŁASNE DLA SZKÓŁ.

dozwolone przez Ministerstwo Oświaty:

BACZYŃSKA S. i ODERFELDÓWNA A. Patrzę i opisuję. Cz. I. Książka do ćwiczeń gramatycznych, ortograficznych i styl- stycznych na oddz. II-gi szkół powsz. . . . .	1.30
„ Patrzę i opisuję. Cz. II, na oddz. III-ci szkół powsz. . . . .	1.60
„ Patrzę i opisuję. Cz. III, na oddz. IV-ty szkół powsz. . . . .	1.80
CHRZĄSZCZEWSKA J. i PORAZIŃSKA J. Mój elementarz. Z barw- nemi rysunkami . . . . .	1.60
GAYÓWNA D. Krajoznawstwo. Dla oddz. IV-go . . . . .	3.20
STALA AL. Nasza pierwsza książka na oddział II-gi szk. powsz. . . . .	1.80
„ Nasza druga książka na oddział III-ci szk. powsz. . . . .	2.40

W nowem, zmienionem wydaniu ukazał się SŁOWNICZEK ORTO-  
GRAFICZNY H. Radwanowej. Cena 1.80.

### WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. p.
„Piomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 g
„Piomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 g
„Piomyk” z „Piomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 g

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu administracji 322-18, redakcji 760-40. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.

Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.





U... u... u! Zjadła mi wszystkie jeżyny!